

Kacper Sumiński – „Stara plaga”

Nigdy nie sądziłem, że będę musiał to zrobić, wciąż zadaję sobie to samo pytanie: „Czemu? Czemu ja?”. Jednak odpowiedzi nikt mi nie dał, a ja wciąż się głowię, czemu musiałem opuścić mój dom. Dlaczego musiałem wyjechać? Czy zrobiłem co złego? Czy komu zaszkodziłem? Czy złamałem znachorską przysięgę, którą to przecież bogom złożyłem? Czemu? Czemu już nigdy nie zobaczę rodzinnego Berglos? Czemu już nigdy nie będę słyszał i widział jego mieszkańców? Czemu już nigdy nie ujrzę tych stron? Czemu już nigdy nie spotkam starych przyjaciół? Czemu? Nie wiem tego. Wiem tylko to co mi powiedziano: „Malo, wróg bogów i ludzi, został uwięziony. Potrzebujemy teraz Kluczników, którzy będą strzec kluczy do jego lochu”. Tak, potrzebowali Kluczników, ale czemu zostałem jednym z nich, czemu nie ktoś inny? Nie wiem i się nie dowiem, mogę tylko kontynuować to zadanie i chronić klucza do lochu Malo. Nigdy nie zrozumie boskich wyroków.

Od dnia, gdy musiałem opuścić moje rodzinne strony minęły już całe dwa tygodnie. Przez cały ten czas szedłem na północ, wędrowałem niestrudzenie, by wypełnić powierzone mi zadanie. Widziałem zimne góry o ostrych szczytach, wartkie strumyki, jeziora o przedziwnej pradawnej mocy i gęste bory pełne magicznych stworzeń, których jednak prawie nikt nie mógł zobaczyć. Odwiedziłem wielkie miasta, maleńkie wioseczki, od których większe były pola ich mieszkańców, wspaniałe pałace, które przyćmić mogły tylko siedziby bogów oraz wiele karczm i tawern. Dziś właśnie zawędrowałem do jednej z nich. Ustawiono ją na samych obrzeżach grodu Pochsaal. Otaczał go gęsty las, a karczma znajdowała się po stronie bliższej jego środkowi, więc aby do niej dotrzeć musiałem przejść przez całe miasto. Widok wesołych ludzi przechadzających się po ulicach i równo poustawianych chat przywoływał dawne wspomnienia, które niestety nigdy nie powrócą. Na tę myśl łza zakręciła się w moim oku. Głośno pociągnąłem nosem i przyspieszyłem kroku. Minąłem kolejnych ludzi, kolejne chaty i kilka kolejnych gospód. Nie zatrzymałem się jednak przy żadnej z nich, we wcześniej odwiedzonych grodach polecono mi tu karczmę umieszczoną tuż przy zachodnim murze. Nie znałem tych stron, więc musiałem zawierzyć słowom mieszkańców. Zrobiłem tak i dotarłem do wdzięcznego, jednopiętrowego budynku gospody. Budowla na planie idealnego kwadratu jednym rogiem wpasowywała się w mur, który tu w przeciwieństwie do pozostałych części grodu, gdzie miał kształt elipsy, stawał się nagle kanciasty. Na parterze znajdowało się kilka niewielkich, kwadratowych okienek, przez które wydostawał się zapach jedzenia, tak przyjemny dla zmęczonego i głodnego wędrowca. Okienka na piętrze były większe, ale znajdowały się wyżej i umieszczono je w płytkich niszach, więc w żaden sposób nie można było zobaczyć co się tam dzieje z zewnątrz. Tam prawdopodobnie wynajmowano podróżnym pokoje. Na dole mogła być kuchnia i jadalnia.

Dokładnie przede mną, nad drzwiami gospody wisiał wielki szyld z napisem: „Pod rozśpiewanym kufelkiem” i lampa olejna. Nazwa była bardzo zachęcająca, więc zdecydowałem się wejść.

Panujący wewnątrz półmrok, mocno kontrastował z dziennym światłem na zewnątrz. Pod niskim sufitem zgromadziła się chmura dymu z paleniska, więc gdy otworzyłem oczy wciąż przez chwilę nic nie widziałem. Dopiero po chwili odnalazłem wzrokiem charakterystyczne elementy: stoły, krzesła, biesiadników, palenisko i kontuar, za którym stał karczmarz i patrzył w moją stronę roześmianym wzrokiem. Miał małe oczka, olbrzymi nos i uszy oraz bujną rudą brodę opadającą na pierś. Nie był wysoki, ani szczupły, ale bez wątplenia był silny i lepiej było by nie mówić do niego „karle”, bo mogłoby się to źle skończyć. Nosił szarą koszulę i ciemnozielony fartuch, który musiał oprzeć na pasie ze sznura, by się na nim nie potykać.

- Tackcher z Pochsaal, czym mogę służyć – swoim ciepłym, pogodnym głosem wyrecytował starą regułkę znaną już wszystkim karczmarzom, gospodarzom i niektórym kupcom.

- Berron z Berglos – odpowiedziałem na powitanie i dopiero po nim zająłem się jego pytaniem: - Jestem głodny i zmęczony, proszę o coś do jedzenia i miejsce do spania.

- Miejsce, byś się wyspał znajdziemy i chętnie też cię nakarmimy. Dziś raczymy naszych gości plasterkami dziczyzny z grzybami, kaszą i grochem. Do picia natomiast mamy piwo, mleko, jabłecznik oraz miód.

- Doskonale! Taka porcja mi wystarczy, a z jabłecznikiem zaspokoi wszystkie moje kulinarne potrzeby.

- Świetnie! – odparł Tackcher, któremu moja reakcja najwidoczniej bardzo przypadła do gustu. – Teraz pomówmy o pana noclegu. Powiedz no, na ile chcesz się u mnie zatrzymać?

- Tylko na jedną noc.

- A więc nie potrzebujesz dużego pokoju, tylko by pomieścić rzeczy i mieć gdzie spać – zaczął szukać czegoś pod ladą, co ze względu na jego wzrost było wyjątkowo proste. Po chwili wyjął stamtąd długi żelazny klucz z doczepioną drewnianą tabliczką, na której wryto jakiś wzór. – Ten chyba będzie dobry. Ma pan teraz izbę na piętrze, za ostatnimi drzwiami po lewej stronie. Teraz możesz usiąść, a moja córeczka zaraz przyniesie ci obiad, choć najpierw możesz dać mi kilka srebrników – sięgnąłem do sakiewki i położyłem na ladzie cztery srebrne monety z wykutym na nich półkolem. Po minie Takchera poznałem iż nigdy wcześniej nie widział takiego herbu, ale innych monet nie mogłem mu dać. – Nie wszyscy w okolicy przyjmą takie pieniądze. Wezmą oczywiście pod uwagę iż są ze srebra, ale to obca waluta. Myślę, że mogą nie uznać ich za pełnowartościowe – dorzuciłem jeszcze trzy, a

karczmarz powoli i bardzo wyraźnie pokiwał głową, czekając aż dam mu jeszcze jedną. Dopiero wtedy pozwolił mi odejść i usiąść przy jednym ze stołów.

Stamtąd, czekając na posiłek, obserwowałem innych biesiadników. Gdy córka oberżysty przyniosła mój talerz i kufelek z jabłecznikiem, byłem bardzo zdziwiony. Ani trochę nie przypominała krasnoludzi, a jej ojciec bez wątplenia był krasnoludem lub był z tą rasą blisko związany. Ona, choć była niewysoka i pulchna, nie miała charakterystycznego krasnoludzkiego lica. Jej kwadratowa twarzyczka była wesoła i rozpromieniona. Miała wąskie usta i duże, błękitne oczy wyglądające jak gwiazdy. Na ramiona spływały jej złote loki. Bardziej przypominała niską elfkę niż krasnoludzię czy gnomkę.

Postawiła posiłek na stole i odeszła, cały czas się uśmiechając. Szła powoli, więc zdążyłem jeszcze podziękować nim zniknęła za drzwiami do kuchni. Jedząc pyszny posiłek, zauważyłem skąd nazwa „Pod rozśpiewanym kufelkiem”. Karczmarz usiadł przy stoliku naprzeciwko, obok jakiegoś kruczowłosego jegomościa i stuknął się z nim kufelami. Następnie obaj pociągnęli po długim łyku piwa. Tackcher odstawił kufel na stół, wykonał kilka głębokich oddechów i zaczął pieśń. Zaczął ją tak głośno, że kilka osób aż wyrzuciła łyżki w powietrze. Po chwilowym szoku goście zdecydowali się dołączyć do śpiewającego karczmarza. Śpiewał on jednak w tak dziwnym dialekcie, że tylko paru gości potrafiło mu wtutować. Ci, którzy dawali radę to nieliczni zgromadzeni w gospodzie krasnoludowie lub elfowie, lecz i ci nie towarzyszyli mu przy każdej piosence. Większość starała się nucić lub wymachiwać kuflem w rytm melodii. Inni zamknęli oczy i wsłuchiwali się w słowa pieśni karczmarza, muzyka jakby ich przenikała. Postanowiłem zrobić to samo – zamknąłem oczy i odprężyłem się słuchając. To było dziwne uczucie, cudowne, niezapomniane. Z każdą kolejną piosnką lub nawet zwrotką ukazywały mi się nowe, wspaniałe wizje. Raz widziałem potężne góry i lasy, raz wspaniałych królów otoczonych niezliczonymi skarbami i służącymi, raz wielkie batalie, raz wiejskie wesele, a raz tańczącego trefnisia. Gdy spróbowałem zwrócić większą uwagę na poszczególne słowa, obrazy stały się mętne, ale zauważyłem, że oberżysta śpiewa w kilku językach, każda pieśń w innym. Nagle obrazy zafalowały, a słowa karczmarza zastąpił inny dźwięk. Przypominał połączenie warczenia i wycia. To był mój brzuch. Otworzyłem oczy, odnalazłem łyżkę i wróciłem do jedzenia. Byłem zmęczony i jak tylko skończyłem jeść, odszedłem do pokoju na piętrze. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na moje zniknięcie, znacznie bardziej interesował ich śpiewający karczmarz. Moją izbę rozpoznałem po symbolu na drzwiach – identycznym jak ten przy kluczu. Przedstawiał stylizowany kwiat i kilka liści. Po drodze trafiłem na zupełnie inne obrazki: koronę, smoka, drzewo, żołędzie, koguta i orła. Moje drzwi były oczywiście na samym końcu korytarza.

Pokój był skromnie urządzone, w niewielkiej izbie stało wąskie łóżko przykryte kocem, szafka nocna, krzesło i mała garderoba. W pokoju było tylko jedno okno. Przysiadłem na brzegu łóżka, westchnąłem kilka razy i pograżyłem się w rozmyślaniach. Ich tematem było to

samo co zawsze – Klucznicy. Sięgnąłem po medalion na mojej szyi i wyjąłem. Prosty, ozdobiony runami medalion o kształcie koła, na którym ułożono trzy miecze, tak by ich czubki stykały się na małej złotej blaszce na krawędzi koła. Taki medalion miały jeszcze dwie osoby na całym świecie. Nie wiedziałem kto, jako Klucznik nie mogłem nawet znać imion pozostałych, my wszyscy, cała trójka zostaliśmy skazani na wieczne osamotnienie, by ukryć trzy małe wisioriki. Nie wierzyłem, że coś tak małego może kryć tak wielką moc. I być przyczyną tak wielu moich trosk. Codziennie, przez ten maleńki wisiorik pogrążałem się w samotnych rozważaniach i w myślach go przeklinałem. Był dla mnie najgorszą karą, a przecież nic nie zrobiłem! Ech! Nie pora teraz na to, na to nie ma dobrej pory. Użalanie się nad losem i przeklinanie go nawet najgorszymi klątwami, nie zmieni go. Jestem na to skazany i już, nic nie mogę zrobić. Schowałem klucz za koszulę i wyłożyłem się na łóżku. Nie zasnąłem od razu, przez długi czas w ciszy leżałem i patrzyłem w sufit. Starłem się pozbyć myśli, które będą spędzać mi sen z powiek. To nie było łatwe i zajęło mi mnóstwo czasu. Mimo to później ledwo spałem i często się budziłem. Rano byłem więc niewyspany i próbowałem dosypiać, ale stado ptaków przed oknem nie zamierzało mi pozwolić.

- Uciszcie się, wy cholerne ptaszyska!

Moje krzyki nie pomogły, a ptaki dalej upierały się, by nie pozwolić mi spać dłużej. Nie miałem wyjścia, ubrałem się i zszedłem na dół, do jadalni. Wróble wydawały się usatysfakcjonowane.

Jadalnia wyglądała jednak jakoś inaczej. Niby wszystko było takie samo, ale czuć było ponurą atmosferę. Gdy podszedłem do kontuaru nie zastałem Tackchera, stała tam jego córka. Pewnie nie powinno mnie to dziwić, Tackcher nie mógł przecież zupełnie sam obsługiwać karczmy przez całą dobę, ale jednak coś nie pasowało. Była cała zapłakana, ledwo dała radę się przywitać i przekazać mi formułkę, którą przecież powinna od dawna znać:

- T...t...thell...el Fhuu! – pociągnęła nosem. – Thellis z Pochsaal, cz...czym mo...moch...e...

- Stop! – uciszyłem ją. – Uspokój się. Wdech... Wydech... Bardzo dobrze. Teraz powoli powiedz o co chodzi, co się stało?

- Ch...chodzi o... o mojego ojca – jękała się i wciąż płakała, ale przynajmniej mogłem ją zrozumieć. – On... on się nie budzi!

- Śpi? – „szczęściarz” pomyślałem, ale wolałem zachować to dla siebie.

- Nie! On... on... on nie jest nie...nieprzyt...t...t...thomny. Ma sz...szkliste oczy, jest błądy, w...wije się w ko...konwulsjach, broda m...mu posiwiiała...

- Posiwiiała? – byłem pewny, że Tackcher jest w przynajmniej pewnej części krasnoludem, więc w brodzie powinna mieć siedlisko jego dusza. Jeśli nagle posiwiiała, to naprawdę należało się martwić. Thellis przytaknęła, czym potwierdziła moje obawy. – Nim

rozpocząłem tę przeklętą podróż byłem znachorem w Berglos. Przysięga znachorska wciąż mnie obowiązuje, chcę pomóc twojemu ojcu – jej oczy się zaświeciły. – Proszę cię, zaprowadź mnie do niego.

Thellis powoli pokiwała głową, a następnie gestem dała mi znak, bym poszedł za nią. Widocznie wiedziała, że nie da rady powiedzieć niczego zrozumiałego. Poprowadziła mnie na piętro i zatrzymała się przy pierwszych drzwiach, przyozdobionych symbolem w kształcie korony. Otworzyła je, a moim oczom ukazał się pokój znacznie przewyższający moją izbę. Był obszerny, miał dwa duże okna, stół z trzema stołkami, łóżko i garderobę, przynajmniej dwa razy większą od mojej. Na stole stał garnuszek i gliniany kubek. Okna natomiast otwarte, to dobrze, nie było zimno, a trochę świeżego powietrza jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Chory leżał na łóżku przykryty kocem.

- Co mu dawałaś? – spytałem wskazując na kubek.

- Kwaśne mleko, sądziłam, że to z przepicia – odpowiedziała Thellis, wyraźnie spokojniejsza.

Jeśli powodem jego stanu naprawdę było przepicie to świetnie się nim opiekowała. Miałem jednak przeczucie, że alkohol nie jest tego bezpośrednią przyczyną. Ale należałoby się jeszcze upewnić. Podeszedłem do ciężko oddychającego Tackchera. Wszystko zgadzało się z tym co powiedziała mi Thellis: pobladł, miał szkliste oczy, jego broda prawie całkiem posiwiała i cały czas drgał przez swój ciężki oddech, wcześniej to pewnie wyglądało gorzej. Nie znałem zbyt wielu chorób o takich objawach, ale musiałem się jeszcze przyjrzeć. Nagle coś zwróciło moją uwagę. W kąciку ust widziałem żółtozieloną, trójkątną plamę, najprawdopodobniej ślad po niedawnych wymiotach. Najpewniej czymś się zatruił, możliwe też, że się upił.

- To zaczęło się dziś rano?

- Nie, przytomność stracił już wczoraj wieczorem. Po zakończeniu pieśni, stuknął się kufelkiem z tym czarnowłosym elfem, a gdy wypił swoje piwo, natychmiast padł na podłogę – zaszlochała.

- A elf?

- Uciekł – odparła. – Nie ma się co dziwić, na pewno się przestraszył, ale ojciec już wcześniej tak padał. Nigdy jednak nie kończyło się to w ten sposób. Wcześniej trochę go pobolała głowa, trochę pojęczał, ale gdy odpoczął i napił się kwaśnego mleka szybko wracał do siebie. A teraz... a teraz mo...może za...za...zaraz umrzeć! – ponownie zaniósła się płaczem. Ja natomiast wróciłem do oględzin.

Gdy przyglądałem się jego objawom, zwróciłem uwagę, że między rudymi a siwymi pasmami na jego brodzie, są cienkie zielonkawe pasma. To bez wątplenia był zły znak, dla krasnoludów broda jest siedliskiem i zwierciadłem duszy. Zielone pasma mogą oznaczać działanie czarnej magii. Nie mogłem jednak zostać przeklęty, nigdy nie słyszałem o czarach,

które tak działają. Uznałem, że został otruty, ktoś mógł mu czegoś dosypać lub dolać do piwa, teraz najważniejsze było „czego”. Zacząłem przeszukiwać pamięć w nadziei na znalezienie trucizny, która mogła tak zadziałać i oczywiście odtrutki do niej. Szło dość opornie.

- Myłaś już naczynia? – zapytałem z nadzieją na odnalezienie resztek trucizny w kuflu, ale otrzymałem odpowiedź twierdzącą. Będę musiał sam jakoś to odgadnąć. Wiedziałem, że jest trucizna podawana doustnie, znałem objawy, na pewno jest powiązana z czarną magią... - Psiakrew! Są co najmniej cztery takie trucizny, a każdą leczy się inną odtrutką – Thellis chyba na dobre się rozpląkała. Jakoś na pewno mogłem pomóc jej ojcu. – Mógłbym spróbować użyć czarów, znam zaklęcia, które powinny pomóc – Thellis delikatnie potaknęła, a ja zacząłem dyktować zaklęcie: - *Dar ossyn-af, awan-!* – Tackcher zadygotał, zakaszał, plama na jego ustach urosła i... i nic! Dwie z czterech trucizn można już wykluczyć. Pozostałe są dużo silniejsze, więc czar nie zadziałał. Moje zdolności magiczne też, mimo elfiej krwi, nie były zbyt duże, nawet jak na *pótelfa*. – Wiem! Już wiem! Jeśli to zaklęcie nie zadziałało, to muszę znaleźć jakiś inny sposób. Magii imion nie użyję, bo nie znam imienia tej trucizny. Jest jednak nadzieja. Jeśli ta trucizna jest magiczna, to sądzę, że znam roślinę, która mogłaby go wyleczyć. Nie mam jej, ale o tej porze powinienem ją łatwo znaleźć, zwłaszcza w tym rejonie. Tu w lesie powinienem je łatwo znaleźć...

- Co!? – przerwała mi Thellis, która chyba już nie mogła dłużej wytrzymać mojego zawilego sposobu tłumaczenia. Zdarzało mi się to dość często, gdy znalazłem rozwiązanie trudnego problemu, podobnego do tego, to nim wymieniłem nazwę, długo o tym mówiłem, nie używając jej. Niektórych to naprawdę denerwowało.

- Jasnolistka – odpowiedziałem. – To wysoka roślina o drobnych kwiatach i listkach oraz cienkiej łodydze. Wyzwała charakterystyczne światło. Widziałaś coś takiego? Używa się jej do leczenia wpływów czarnej magii.

- Nie...

- Trudno – wszedłem jej w słowo, ale sądziłem, że nie zamierzała powiedzieć więcej – będę musiał sam ją jakoś znaleźć. Tackcher nie wygląda zbyt dobrze, lepiej się pospieszyć – dziewczyna ponownie stała się bliska płaczu – ale najpierw zalej to wrzątkiem – wyjąłem z sakwy, mały mieszek, wypełniony ziołami. W sakwie dzieliłem zioła na takie mieszki, by łatwiej było mi odnaleźć właściwe. Dla jeszcze większego ułatwienia oznaczałem je kolorowymi wstążkami.

- To mu pomoże?

- Na pewno nie zaszkodzi, ale to nie dla niego. Sądzę, że tobie przyda się bardziej.

- Co to? – zapytała, wyraźnie zaniepokojona.

- Melisa, musisz się uspokoić – mruknąłem w odpowiedzi.

Dziewczyna najwyraźniej знаła ten lek, bo natychmiast się uspokoiła. Uznałem, że mogę ją zostawić z tym mieszkim, więc zacząłem przygotowania do wyjścia. Zajęło mi to tylko kilka chwil, bo już od dawna byłem gotowy do drogi. Wystarczyło powyjmować z toreb kilka niepotrzebnych drobiazgów i mogłem iść.

O tej porze roku las wyglądał cudownie. Drzewa wciąż były zielone, ale wśród liści pojawiały się już liczne czerwone, żółte lub jasnobrązowe plamy. W tym czasie hamadriady nosiły coraz bardziej kolorowe suknie, a magiczne stworzenia zamieszkujące takie knieje coraz częściej się pokazywały. Kątem oka udało mi się nawet ujrzeć przemykające między drzewami gnomy, krzaty, satyry, a może nawet i miejscowego sylwana. Przez chwilę chciałem natychmiast puścić się biegiem w ich stronę, ale zwalczyłem pokusę. Tego typu istoty były zbyt płochliwe, gdybym nagle zaczął je gonić, rozbiegłyby się we wszystkie strony i już bym ich nie znalazł. Jeśli będę szedł spokojnie doprowadzą mnie do jasnolistek i szybko wrócę. Oczywiście, myliłem się. Nawet, gdy leśne duchy szły powoli nie mogłem ich dogonić, bo ich wizja słowa „powoli” znacznie różni się od mojej. Musiałem zdać się na siebie i iść prosto, w kierunku, w którym jak sądziłem, poszły. Niestety drogi, którymi poruszały się te cudowne istoty, nie były przeznaczone dla ludzi. Te ścieżki to wąskie dróżki wydeptane ich maleńkimi stópkami, nie każdy dałby radę nimi przejść, ja na pewno nie. Po kilku minutach, albo kilkadziesiąt, zorientowałem się, że nie mam pojęcia gdzie idę. Zgubiłem się. Trafiłem na kolejną polankę. Rosnące na niej trawy były wyższe, a otaczające ją rzadkie drzewa bardziej kolorowe. Między złocistoczerwonymi gałęziami nad moją głową przekradały się promienie słońca, rozświetlając to miejsce. Na samym jego środku, gdzie światła było najwięcej, widziałem wysoką, cienką białą łodyżkę o migoczących listach i maleńkich żółtych kwiatach, które zobaczyłem dopiero, gdy podszedłem bliżej.

- Jasnolistka – wyszeptałem i sięgnąłem dłonią w jej stronę, by ją wyrwać, a wtedy...

Uschła. Jasnolistka, która mogła wyleczyć Tackchera, po prostu uschła. Ale jak? To przecież niemożliwe, by jakikolwiek kwiat tak nagle obumarł, zmieniając się w suchą, martwą, brązową, plamę. Na bogów, to niemożliwe! Wstałem, otrzepałem płaszcz, powtórzyłem w myślach, że to niemożliwe i przyjrzałem się resztkom ziela. Zza jednego z opadłych liści wybiegała ciemna smuga. Pełzła po trawie, między drzewa.

- Co to? – schyliłem się i przyjrzałem czarnej linii. Zebrałem palcami, ciemny pył, tworzący linię i zacząłem trzeć, aż przemieniły się w popielaty dym. – Czarna magia... Psiakrew.

Ruszyłem przed siebie, cały czas schylony, by nie przegapić żadnego zakrętu. Jeśli się uda, to ta linia zaprowadzi mnie do maga, który to zrobił. Ale niestety, trop się urwał. Linia po prostu zniknęła.

- Dłużej nie wytrzymam tego przeklętego lasu – oparłem się o porośniętą bluszczem skałę i poczułem, jakby coś wsysało moje ramię. Ciągnęło mnie coraz szybciej, w głąb

ściany. Moja ręka cała zniknęła między grubymi pnączami, które zacisnęły mi się wokół ramienia. Przekształcone i powykręcane włoski, przypominające mniejsze pnącza, ukryte pod większymi liśćmi i chwytające stamtąd wszystko co znajdzie się w ich zasięgu, na przykład mnie. Drapały mnie po polikach, owijały się wokół szyi, chwytaly za wargi i ciągnęły za włosy, zbierając je najpierw w kasztanowe pukle na moich oczach, a potem starały się je powyrywać. Gorączkowo myślałem – co robić?! Mógłbym użyć magii, tak, to chyba najlepszy sposób, ale wciąż nie wiedziałem co właściwie zrobić. Istniało przecież tak wiele zaklęć. Nie spalę bluszczu, bo nie mogę tworzyć żywego ognia. Nie poparzę go żarem, bo nie chcę poparzyć siebie. Co pozostało? Magia imion. Jedyny sposób, by kontrolować istotę, ale nie znam jej imienia. Imiona roślin łatwo odgadnąć, pewnie dam radę. Każda roślina musi pochodzić od innej rośliny tego gatunku. Ale jaki to gatunek?! Patrz na liście, myślałem, to najlepszy sposób. Duże... Wyglądają jak trzy poskładane trójkąty... Myśl! Co to jest? Mam!

- Malo-ae eivgryd hyglas molo eivgryd hyglas, geiang mi ak-mig! – bluszcz puścił moją szyję i włosy, a pnącza rozchyliły się pozwalając mi upaść na progu jaskini, którą zagradzały.

W głąb jaskini prowadził szeroki tunel, który zakręcał w lewo, skąd dochodziło światła. Prawdopodobnie tam ukrył się mag, który zniszczył jasnolistkę i opatrzył bluszcz swymi czarami. Jeślibym chciał go spotkać, a to konieczne, by uleczyć Tackchera, musiałbym tam pójść. Zrobiłem to.

- Witaj, mości Kluczniku – odezwał się elf. Stał pośrodku jaskini, odwrócony do mnie plecami. Miał szarobrązowy płaszcz i krucze włosy opadające na ramiona. Wydawało mi się, że już go gdzieś spotkałem.

- A...ale... jak ty? – zaniemówiłem. Sądziłem, że nikt nie wiedział kim jestem, że dobrze strzegłem klucza. Nie miałem pojęcia skąd on to wie. To było niemożliwe.

- Daj pokój! - elf odwracając się, niedbale machnął ręką. – Jeśli kto jest dość spostrzegawczy i sprytny, a na dodatek umie się obchodzić z ludźmi, to jest w stanie dowiedzieć się wszystkiego – jego szare oczy jakby mnie przenikały, miałem przez to całkowitą pewność, że ma rację. To było okropne, musiałem jak najszybciej zmienić temat. Nie wiedziałem co mam mówić, więc zacząłem się rozglądać po pomieszczeniu, udając, że ma mi to coś dać. Mój wzrok spoczął na ciemnym krzewie przy ścianie ze zlepionych skał, za moim rozmówcą. – Interesuje cię to? Ha, w końcu jesteś zielarzem. Tak to bardzo ciekawe, jesteś mi bowiem przez to, przez przysięgę znachorską i oczywiście prze klucz, którego strzeżesz, podwójnie wrogiem. Ja Cintim – mroczny elf i jadownik, ty Beron, Klucznik i znachor. Nie muszę więc tłumaczyć, dlaczego. A wracając do tej pięknej rośliny, to dalmana duhon, lub jak pewnie wolisz czarnokrzew. Większość osób twierdzi, że została już całkiem wypleniona, ale ten krzaczek nie wygląda mi na jakoś zbytnio „wypleniony”.

- Czarna plaga – szepnąłem, przypominając sobie ludową nazwę tej straszliwej trucizny. – To ty go otrułeś, to...

- Przestań już! – uciął mi rozmówca. – Zresztą, czemu tak się o niego martwisz? Przyjrzyj mu się, jego życie jest nic nie warte! Dolewając wywar z plagi do jego piwa, wyświadczyłem bogom przysługę – próbowałem oponować, ale Cintim, mnie uciszył i mówił dalej: - Nie jest nic wart! To nawet nie jest krasnolud, widziałeś krasnoluda, tak niskiego? Na pewno wśród rodziców miał gнома lub krzata! A jego córka? By zmazać taką brzydotę potrzebna byłaby elfia krew i to stopniowo dodawana przez kilka pokoleń! Ale jaki elf zechciałby krasnoluda? Na pewno w pewnej części jest też człowiekiem! Widzisz? *Co to jest?* Życie zwykłego szczura jest trzy razy cenniejsze!

- Jak śmiesz?! – skoczyłem na niego, wyjmując sierpak zza pasa, lecz elf odepchnął mnie, uderzając w policzek wierzchem dłoni, okrytej stalową rękawicą. Przewróciłem się, poczułem na brodzie ciepłą strugę. Gdy zacząłem się podnosić, widziałem jak jadownik zbliża się do mnie z uniesionym mieczem. Bałem się, musiałem zareagować. Był coraz bliżej, a ja miałem coraz mniej czasu. – Irenist! – krzyknąłem, wykorzystując bardzo silny czar żaru, a z mojej dłoni wystrzeliła fala dymu, pyłu i olbrzymiej ilości skier. Ten czarnozłotoczerwony słup żaru uderzył elfa w twarz. Cinit wpadł nieprzytomny w krzew plagi.

Zawiązałem usta i nos oderwanym kawałkiem mojego płaszcza i przystąpiłem do karczowania. Sprawdziłem przy tym stan poparzonego. Obrażenia wyglądały na poważne, ale żył. Nie zniósł bym, gdyby ktokolwiek umarł z mojej ręki. Najważniejszym punktem przysięgi znachorskiej było: „nie szkodzić”, a zabicie kogoś to chyba olbrzymia szkoda. Przy upadku krzak posłużył za amortyzator, więc nie krwawił. Jego rany wyglądały jednak okropnie. Trudno, ważne, że żyje, teraz przede wszystkim muszę pozbyć się tej przeklętej rośliny. Czarna plaga zbyt szybko się rozprzestrzenia, nie może tu zostać nawet mały fragment jej korzeni, ani nawet liści.

Chwyciłem pierwszą łodygę. Parzyła mnie w dłoń, ale była to najmniej szkodliwa część rośliny. Przytrzymałem ją i palcami rozkopałem ziemię dookoła. Wtedy zaczął się trudniejszy fragment, musiałem wyrwać korzeń i wyjąć go, omijając przy tym kłębowinę gałązek i trujących liści. Nie szło najlepiej, parę razy upuściłem korzeń, nim wyjąłem go na dobre z ziemi. Musiałem, więc szukać go jeszcze raz. Chyba już podczas szóstej próby pozbycia się tej rośliny, natrafiłem ręką na coś, co bez wątplenia nie było rośliną. Było pokryte czymś miękkim i znacznie przyjemniejszym w dotyku niż liście czarnokrzewu. To się ruszało! Kopało! Pchnęło mnie na ziemię. Gdy leżąc spojrzałem na krzak podnosił się zeń ciemny kształt. Elf odkopał mój sierpak i stanął nade mną z obnażonym mieczem skierowanym ku mojej piersi. On mógł mnie zabić! Myśli kłębiły się w mojej głowie. Mogłem go w każdej chwili najzwyczajniej kopnąć, ale spadające ostrze mogłoby mnie zranić, a podpierający się na nim elf nawet zabić. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem byłby czar,

ale patrząc na poparzenia na twarzy Cintima nie potrafiłem się na tyle skupić. Jego skóra wyglądała jak nieupieczone ciasto, przyprawione popiołem i spływające małą kaskadą po jego poliku. Zasiała prawie połowę nosa. Ucho było czerwone i spuchnięte. Oczy zaszyły mu krwią, której strugi spływały również z ust, po brodzie. Resztę twarzy i łysą plamę tuż nad nią pokrywał popiół. Okropne! Jemu to jednak nie utrudniało aż tak zadania i już gotował się, by zadać mi śmiertelny cios. Podniósł ostrze, chcąc uzyskać większą siłę, gdy będzie je na mnie opuszczał. Strach mnie sparaliżował, nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Czułem, że zaraz będę musiał pożegnać się z tym światem.

- Darasag! – krzyknąłem mimo przerażenia. Zrobiłem to całkowicie bez zastanowienia, nie myślałem o tym. Czułem się jakby ktoś inny wypowiedział to słowo, jedynie posługując się moimi ustami. Ktokolwiek to był, byłem mu bardzo wdzięczny. Czar zadziałał.

Między czubkiem miecza a moim ciałem pojawiła się wielka jaskrawo błękitna kula światła z mnóstwem białych drobin. Klinga wbiła się weń i natychmiast przebiegły po niej niebieskie światełka, dzieląc ją na kilkadziesiąt części. Ani Cintim, ani ja nie zdążyliśmy nawet drgnąć, a ostrze eksplodowało, uwalniając istną fontannę magicznego blasku i odpychając niedoszłego zabójcę. Czar wyrzucił jego ręce w górę, tak, że rozbił sobie czoło głównią rękojęści. Padł na ziemię, tym razem martwy. Wtedy byłem pewny, że to zaklęcie to nie był żaden odruch, ja nigdy nie dałbym rzucić czaru ochronnego o takiej sile. Mój mógłby jedynie delikatnie uszkodzić oręż, ale nie zabić! No właśnie, zabić. Składałem przysięgę znachorską, a teraz nagle, zupełnie o tym nie myśląc, złamałem ją. Nie była już nic warta, a moje poglądy i przekonania legły w gruzach. To wszystko przez ten cholerny medalion, odkąd go dostałem, ba, odkąd mi go wciśnięto, zawsze mam wrażenie, że wszyscy dookoła chcą mojej śmierci i jak widać jest ono bliższe prawdy niż myślałem. Teraz po raz pierwszy miałem ochotę, zerwać go z szyi i cisnąć na ziemię, niech ktoś inny się o niego martwi. Albo niech go mroczne elfy znajdą, mnie to nie obchodzi, a nawet jeśli to zrobią to co z tego? Są przecież jeszcze dwaj inni Klucznicy, a jeden kluczyk, byłby całkowicie bezużyteczny. Już zdjąłem naszyjnik i zamierzałem go wyrzucić, ale... Zawahałem się i nie zrobiłem tego. Ogarnęły mnie wątpliwości. Ten medalion, ten Klucz to największy sprawdzian przed jakim kiedykolwiek stawałem, jeśli go wyrzucę udowodnię całemu światu, że jestem za słaby. Przecież bogowie sami wybrali mnie na jednego z Kluczników, nie mógłbym się od nich odwrócić. Ponownie założyłem naszyjnik i krzemieniami podpałem krzew. Teraz nie musiałem się bać, że kogoś tym skrzywdzę. Następnie wyszedłem z groty, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zapach lasu i czerwonawe już światło dnia, działał na mnie uspokajająco. Teraz musiałem znaleźć jasnolistkę, która jeszcze nie obumarła. Na pewno w tym lesie była taka choć jedna. Musiałem ją jednak znaleźć jak najszybciej. W nocy jasnolistka nie ma żadnych

właściwości, a jeśli nie podam jej na czas, Tackcher może nie dożyć rana. Nie miałem czasu na szukanie jej, ale czary mogą zrobić to szybciej.

- Bloden four ga mallachr gyslander yn bloden four ga mallachr gyslander, blung-nyn ki? – wypowiedziałem zaklęcie szukające, używając imienia jasnolistki – „złoty kwiat o żywym blasku ze złotego kwiatu o żywym blasku”, czyli „bloden four ga mallachr gyslander yn bloden four ga mallachr gyslander”, ale czar nie zadziałał. Nie było to aż takie dziwne, wszak rzuciłem dzisiaj już jedno(albo dwa) zaklęcia i zmęczenie mogło mi utrudniać rzucanie kolejnych, ale to musiało się w końcu udać. To był jedyny sposób, by w porę znaleźć potrzebne zioło. Zdecydowałem, więc spróbować jeszcze raz, ale tym razem musiałem włożyć w to więcej siły: - Bloden four ga mallachr gyslander yn bloden four ga mallachr gyslander, blung-nyn ki? – tym razem przed moimi oczami stanął złoty ognik wielkości mojej dłoni. Niestety, zanim wskazał mi drogę, zatańczył w powietrzu i wirując rozleciał się na kilkadziesiąt maleńkich iskierek, które spadły na ziemię i zniknęły w trawie. Wtedy słońce już zbliżało się do linii horyzontu, miałem coraz mniej czasu. Zamknąłem oczy i wyszeptalem magiczną formułę. Pod moimi powiekami pojawiło się mnóstwo żółtych i zielonych plam. Zacząłem je kształtować, wyobrażając sobie konkretny obraz, nadal szepcząc zaklęcie. Kolorowe kleksy stawały się wyraźniejsze i mogłem odnaleźć w nich zarys jasnolistki, który po chwili wyglądał już jak prawdziwy kwiat. Zaciśnąłem powieki, by zebrać to wszystko w jedną jasną kulkę i ponownie wypowiedziałem zaklęcie: - Bloden four ga mallachr gyslander yn bloden four ga mallachr gyslander, blung-nyn ki? – otworzyłem oczy i ponownie zobaczyłem tańczący złocisty ognik. Był mniejszy niż ten poprzedni i bałem się, by nie zgasł, ale wyglądało na to, że jeszcze trochę wytrzyma. Zaraz się też o tym przekonałem, gdy płomyk pofrunął między drzewa i nie zmalął ani odrobinę.

Pobiegłem za nim. W końcu, gdybym go zgubił, zgubiłbym też ostatnią szansę na uratowanie Tackchera. Ścigałem więc ognik, przemykający wymyślnym ślalomem między drzewami i chyba celowy omijający wszelkie ścieżki. Wreszcie, po paru potknięciach, kilku stłuczkach z twardymi pniami i niezliczonej ilości ciosów wymierzonych mi od gałązek, których nie ominałem, płomyk wyprowadził mnie na polanę. Oczywiście, przez jej środek przebiegała szeroka ścieżka, którą mogłem tu dojść bez niepotrzebnych utrudnień. Złoty ognik zatrzymał się po drugiej stronie drogi, nad rozłożystą jasnolistą, odbijającą jego światło. Płomyk zatańczył i podobnie jak poprzedni, rozsypał się na kilkanaście iskierek. Ten zrobił to jednak we właściwym momencie. Ja przysiadłem obok rośliny i wyjąłem sierpak. Przyłożyłem ostrze do łodygi i odciąłem ją. Zabrałem roślinę i ruszyłem do miasta. Tak, tylko, w którą to było stronę? Dobra, odkąd stworzyłem ognik, szedłem mniej więcej po prostej linii. Ta ścieżka musi, więc odchodzić od tamtej, z której zszedłem, więc... powinna prowadzić do miasta, albo je okręzać. Jeśli się wróczę, dojdę już po zachodzie, ale idąc tą drogą, wyjdę blisko północnej bramy. Wschodnia, do której muszę dojść, powinna być niedaleko. Miałem

rację, ta dróżka doprowadziła mnie prosto do Pochsaal, lecz zobaczyłem je dopiero, gdy stanąłem tuż przed murem miejskim. Wcześniej zasłaniały mi je ściany świerków, brzoź, buków i sosen. Znajdowałem się w pobliżu północnej bramy(zupełnie jak przewidziałem), ale musiałem dojść do wschodniej, a czasu było już bardzo mało. Słońce było wówczas już pomarańczową kropką nad nieboskłonem. Popędziłem, więc ile sił w nogach do karczmy „Pod rozśpiewanym kufelkiem”, nie zważając na to jak wielu przechodniów potrączę. Gdy wpadłem do izby Tackchera, przez okno widziałem niemal całkowitą ciemność, rozświetlaną jedynie przez kilka gwiazd i jasną plamę, znikającą za widnokretem. W pośpiechu wyjąłem z sakwy zmiętą jasnolistkę i rozkazałem:

- Bloden four ga mallachr gyslander yn bloden four ga mallachr gyslander, pagallein-!
– roślina w moich dłoniach ponownie zaśniła, a jej kwiaty i liście uniosły się i opadły na twarz Tackchera.

Chory przestał się trząść i pogrążył się w dziwnym śnie. Wyglądał bardziej jakby umarł. Nie wiedziałem co powiedzieć, milczałem. Thellis była bliska płaczu, aż nagle...

- Co tak smutni stoicie i łkacie, jak na pogrzebie? Szybko, mówcie, kto umarł? Kogo przespałem?!

Thellis natychmiast skoczyła go uściskać, ja po cichu wróciłem do mojej izby. Tam wyjąłem z chlebaka parę podpłomyków i kilka kawałków suszonego mięsa. Tego dnia prawie nic nie jadłem i po chwili nie miałem prawie nic do jedzenia. Popiłem moją kolację winem i natychmiast zasnąłem.

Sen miałem wtedy dość nietypowy, lepiej byłoby chyba raczej nazwać go wizją senną. Byłem na środku leśnej polany, klęczałem, a przede mną lub raczej nade mną stał on, schylał się, by móc ze mną rozmawiać.

- Uspokój się – powiedział Quercell spokojnym głosem. – Uspokój się.

- Nie mogę, ja... ja cię zawiodłem – odpowiedziałem lub spróbowałem to zrobić. – Złamałem przysięgę znacho...

- Przestań – zaczął najwyższy sylwan – to nie twoja wina, zrozum.

- Nie moja? – szlochałem. – Ślubowałem, przed tobą i sylwanami, przysięgałem przestrzegać każdego punktu przysięgi znachorskiej. W tym oczywiście najważniejszego – „przede wszystkim, nie szkodzić, lecz pomóc”, a ja mam krew na rękach!

- Ale czyja to krew? Bezwstydne go mordercy, oszusta i rzezimieszka.

- Czy to znaczy, że mogę go zabić? Nie! Nie mogę.

- Nie możesz. Nie możesz zabić, bo ktoś jest zły. Musisz jednak zrozumieć, że on tę krew wylał na twe dłonie dobrowolnie. Jego zadaniem było zabicie ciebie lub poniesienie śmierci, gdy próbował. Ty musiałeś bronić siebie i klucza, który dali ci bogowie. Przyjąłeś to wiedząc, że czeka cię wiele trudności i to nie tylko związanych z osamotnieniem, ale i z niezwykłą wagą tego zadania.

- Ale...

- Nie! – przerwał mi leśny bóg, wymachując na boki długą siwą brodą i wielkim złotym porożem. – Sam włożyłem czar w twe usta, by bronić ciebie, klucza, bogów i ludzi. Wszystkich. Jeśli Malo wyjdzie z lochu, oni wszyscy będą w niebezpieczeństwie. Malo poprowadzi tarów i mroczne elfy, by zgromiły tych, którym Malo życzy śmierci, a od swojej porażki, życzy jej każdemu. To było konieczne. Musisz to zrozumieć. Musisz zrozumieć też, że to nie ty ponosisz tu winę, lecz on sam, bo on dobrowolnie wybrał służbę dla Malo.

Następnie odesłał mnie, a zza drzew wyszło dwóch sylwanów. Wyglądali podobnie do swego pana, ale byli mniejsi. Podobnie jak wszyscy leśni ludzie mieli wielkie zielone oczy, z których bił magiczny blask oraz długie, gęste, przyozdobione liśćmi brody pukle włosy. Nosili też złote różki, jak u koziołków. U ich stóp biegały wielkie lisy o ogniste rudym futrze. Sylwani oprowadzili mnie do drewnianych drzwi, nie stojących przy żadnej ścianie, po prostu stały. Otworzyli mi je i ujrzałem ciemność, a gdy przez nie przeszedłem ciemność zniknęła.

Obudziłem się na łóżku w gospodzie Tackchera. Światło już wkradało się przez firanki. Natomiast z mojego brzucha wykradało się pomrukiwanie. Zszedłem więc natychmiastowo na dół, na śniadanie. Thellis wciąż zastępowała swojego ojca za kontuarem, ale teraz była znacznie pogodniejsza. Gdy poprosiłem o jajecznicę z kielbasą, nie chciała przyjąć zapłaty, jako wynagrodzenie za wczorajszą pomoc, a gdy skończyłem jeść, Tackcher przyszedł z góry ze swojej izby, by mnie pożegnać. Dał mi wówczas podpłomyki, suszone mięso i owoce oraz wino na dalszą podróż. Wcisnął mi też mały mieszek, mówiąc:

- Tu mało kto przyjąłby monety z południowych lenn. Przydadzą ci się lokalne pieniądze.

Oczywiście w sakiewce były monety z północnych lenn, oznaczone rombami. Zawiązałem mieszek i przyczepiłem do pasa. Chlebak natomiast przewiesiłem przez ramię. Z tym wszystkim wyruszyłem w dalszą podróż, prosto przed siebie, gdzie mnie zaprowadzi droga.